

Krzysztof M. Maj

### Marvellous\*

Ponieważ III fazę rozwoju Marvel Cinematic Universe (dla przyjaciół MCU) rozpoczął film, który nastroił mnie raczej pesymistycznie do kina superbohaterskiego i kazał raz jeszcze nie zgodzić się pryncypialnie z większością recenzentów, z ulgą powitałem zapowiedzi o premierze *Doktora Strange'a*. Już reklamujące film plakaty i zwiastuny bezlitośnie poczynały sobie z moim bezkrytycznym upodobaniem do wszystkiego, co ma związek z estetyką płaszcza i magii – i założyłem, że *Doktor Strange* po prostu nie będzie mógł być zły. I faktycznie – nie jest.

Recepta na świetny film Marvela jest stosunkowo prosta i przez wielu recenzentów i krytyków była już wskazywana. Z lekką i lekko familijną (zwłaszcza w zestawieniu ze stentorową powagą DC) atmosferą kina Marvelowskiego wprost idealnie bowiem konweniuje postać „milionera, playboya i filantropa”, jak lubił przedstawiać siebie Tony Downey Jr. – i postać Stephena Strange'a wpisuje się w ten konterfekt wprost wzorcowo. Doktor Strange, podkreślający swój tytuł na każdym kroku ze swobodą niedostępną doktorom nauk humanistycznych (którzy w Polsce muszą się raczej z tytułem swym wstydliwie ukrywać, żeby przypadkiem nie urazić kogoś swoją pozycją akademicką #truestory), w narcyzmie i egocentryzmie nie ma sobie równych – ale przyznać też należy, że estymę, jaką darzy go pół świata neurochirurgii, zaskarbia sobie przede wszystkim swym profesjonalizmem. Podobnie więc jak Robert Stark Jr. wykorzystuje na każdym kroku to, że wybaczają mu się nawet największe grubiaństwo tylko dlatego, że jest w swym fachu nie-dościgniony – i podobnież jak Starkowi właśnie, Stephenowi Strange'owi przychodzi zapłacić za to swoją cenę. Po zmieniającym wszystko wypadku samochodowym, okaleczającym Strange'a w stopniu uniemożliwiającym dalsze wykonywanie zawodu i dostatanie

\*Recenzja filmu: *Doktor Strange [Doctor Strange]*, reż. Scott Derrickson, Walt Disney Pictures, Marvel Studios 2016.

życie, kariera fantastycznego kandydata na antybohatera (lub kandydata na fantastycznego antybohatera) załamuje się i ustępuje klasycznej superbohaterskiej *origin story*. Oczywiście narzekanie na profilerację *origin stories* w początkowych fazach rozwoju MCU mija się z celem, ponieważ takim komiksowym abnegatom jak wyżej podpisany trzeba jakoś wytłumaczyć okoliczności pojawiania się kolejnych superbohaterów w świecie, który nie zna zapewniającej spójność uniwersum DC kategorii „metahuman” – niemniej jednak w trzeciej już fazie rozwoju uniwersum może nużyć. Trzeba wszakże przyznać reżyserowi, którego mało który widz szybko skojarzy z *Egzorcyzmami Emily Rose*, że dzięki fantastycznym decyzjom castingowym i rewelacyjnej grze Benedicta Cumberbatcha i Tildy Swinton, udaje mu się wynieść szkolenie Strange’a w Nepalskim odpowiedniku Hogwartu na poziom absolutnie zadowalający. Nawet typowy dla kina superbohaterskiego wymuszony romans Strange’a z Christine Palmer (w tej roli, o zgrozo, Rachel McAdams) jest zręcznie tonowany momentami komediowymi – choć mimo wszystko razi, że jakkolwiek Stephen Strange pierwszy pokaz magii z udziałem kierującej Nepalskim Hogwartem Starożytnej odchorowuje w sposób silnie przypominający objawy PTSD, tak zdumienie służebnicy zdrowia o twarzy Rachel McAdams wypada raczej mało wiarygodnie, zwłaszcza jeśli pamięta się, że Strange ani razu nie wyjaśnia jej, co się właściwie dzieje i dlaczego nagle nauczył się znikać i pojawiać w powietrzu. Kolejnym pomniejszonym mankamentem *Doktora Strange’a* jest to, że fabuła mknie w nim szybciej i chaotyczniej, niż w powyższym krótkim streszczeniu – i osoby mniej zaznajomione ze specyfiką kina superbohaterskiego mogą się poczuć oszołomione, zwłaszcza że Scott Derrickson okrasza całość produkcji czasoprzestrzenną ekwilibrystyką rodem z wielokrotnie cytowanej w filmie *Incepcji*<sup>1</sup>.

I skoro już jesteśmy przy ekwilibryście: wizualnie *Doktor Strange* jest absolutnie olśniewający. Magia została ukazana w sposób zdumiewająco oryginalny, a pojedynki z jej użyciem w niczym nie przypominają znanego z *Harry’ego Pottera* przerzucania się kolorowymi racami wytryskującymi z różdżek. Jedyne, co może razić, to szybkość, z jaką racjonalny i niezdolny do przyjęcia prawdy o istnieniu magii we wszechświecie umysł Ste-

<sup>1</sup> Ciekawe swoją drogą, że po *Incepcji* Nolana wszelkie Penrose’owskie i Escherowskie paradoksy i abstrakcje architektoniczne robią zdecydowanie mniejsze wrażenie. W pewnym momencie filmu, w którym inicjację magiczną Strange’a obrazowały zmieniające się szybko figury fraktalne, publika co rusz parskała śmiechem, zapewne odczytując w tym aluzję do podobnie radzącego sobie z przestrzennymi paradoksami *Antmana*.

phena Strange'a radzi sobie z opanowaniem arkanów w stopniu umożliwiającym mu skuteczne odpieranie ataków ze strony jej niekwestionowanych mistrzów już w połowie filmu. Równocześnie jednak jeśli pamiętać, że mniej więcej w tych okolicach w sukurs Doktorowi przychodzą dwa potężne artefakty, z czego jeden będący prawdopodobnie najsympatyczniejszym przedmiotem pozornie nieożywionym w roli pomocnika protagonisty – zdecydowanie łatwo tę pomniejszą niespójność puścić w niepamięć. Embargo spoilerowe powstrzymuje niestety przed zrekapitulowaniem najlepszej i prezentującej absolutną maestrię specjalistów od efektów specjalnych scenę, w której w pełni ukazuje się moc jednego z Kamieni Nieskończoności. Zdradzę tylko, że takiej inteligentnej walki z kosmicznym uberbossem i jego plugawymi ziemskimi adherentami jeszcze w MCU nie widzieliśmy.

Nie będę się silił na oryginalność lub nadmierny krytycyzm: *Doktora Strange'a* po prostu trzeba zobaczyć, tym bardziej, im mniejszym upodobaniem darzy się sztabowe kino superbohaterskie – bo jest szansa, że najnowszy film Marvela po prostu tę niechęć odmieni. No i najważniejsze: feeria efektów specjalnych i rewelacyjne zrealizowanie obrazu w technologii trójwymiarowej (nie jest to bynajmniej powierzchowna konwersja) sprawiają, że *Doktora* najlepiej ogląda się w kinie IMAX.